

Roman Zimand

Lekcje francuskiego : (z listów nie napisanych)

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (43), 157-165

1979

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Autobiografia

Roman Zimand

Lekcje francuskiego

(Z listów nie napisanych)

To Anette, Jean-François, their cousin Jeanne (from her ungrateful pupil) and some other people I have met in their strange, broken home.

I

19 grudnia 1975 roku, późnym wieczorem, na Okęciu (międzynarodowym) postanowiłem napisać książkę pt. *Martwe natury, krajobrazy, anegdoty*. Oczywiście nic z tego nie wyszło. To prawda, że tzw. obiektywne okoliczności wyglądały na nie sprzyjające, ale myślę, że to pozory. Nikt nie wie dokładnie co sprzyja, a co nie sprzyja powstawaniu książek; jak wiadomo, można je pisać w niektórych więzieniach, skądinąd surowych, można nawet układać w głowie i uczyć się na pamięć w obozie. Jeśli chodzi o mnie, to myślę, że moje niepisanie ma swe główne źródło we mnie samym, w mieszaninie lenistwa i niewystarczającego talentu, który jest najgorszym rodzajem talentu. („Panie Boże, daleś mi talent, ale za mały!” to chyba Kacper Żelichowski w którymś ze wspomnieniowych felietonów Boya).

Tak czy inaczej do pisania książki nawet nie siadłem. Niemniej w tych strzępach listów tkwią jakieś residua pierwotnego zamiaru. *A propos* pisania w więzieniu, przypomniła mi się modna tu, w Paryżu, rok temu, książka Pierre Goldmana *Souvenirs obscurs d'un Juif polonais né en France*. Goldman nie jest Żydem, jeśliby to pojęcie miało cokolwiek znaczyć, poza tym, że jest się zrodzonym z matki Żydówki (ale wówczas Żydem nie byłby Obed, ojciec Izai ojca Dawidowego). Nie jest tym bardziej Goldman polskim Żydem; jego wspomnienia nie są wcale mgliste, nie jestem natomiast pewien, czy są to dokładnie wspomnienia — słowem jedyna pewna informacja zawarta w tytule dotyczy faktu, że autor urodził się we Francji. Poza tym *Souvenirs obscurs* są świadectwem totalnego wykorzenia. Wydaje się, że nikt w tym zakresie, tj. jako pisarz-piewca wykorzenia, nie zbliżył się nawet do Celine'a.

(Tu ukłony dla Strykowskiemu i wspomnienie o mnie samym jako nieznośnym dziesięcioletnim gówniarzu).

Dużo by można o samym Goldmanie i o jego książce, tu tylko dwie sprawy. Jedna zabawna i czysto anegdotyczna. Na przełomie 1967/68 r. Goldman był w Warszawie, gdzie niczego nie zobaczył, niczego się nie nauczył, niczego nie zrozumiał i romansował ze Ślicznochą, jak się to mówi niewinnie (eufenizm zdradzający nasze głębokie przeświadczenie o tym, co jest winą). Powody, dla których romans był niewinny, były według Goldmana niezwykle *sophisticated* — ale niech mu tam. O mało tego Goldmana wówczas nie poznałem, bo Ślicznocha była nim bardzo przejęta, ale jakoś się obeszło. Zresztą może szkoda... mogło to być zabawne.

Druga sprawa dotyczy francuskiego „maja 68”, którego dziewiąta rocznica właśnie mija. Oto fragmenty wspomnień Goldmana dotyczące „maja 68”:

„Studencka rewolta nabrała rozmachu. (...) Odnosiłem wrażenie, że wraz ze studentami, po Sorbonie i po ulicach rozlała się groźna fala hysterii. Zaspokajali oni swą potrzebę dziejowości w sposób ludyczno-onanistyczny. Oburzało mnie to, że ograniczają się do słów i że to właśnie sprawia im przyjemność. Działanie zastępowali słowem. Zdumiewał mnie fakt, że przekazali władzę zwidom własnej wyobraźni. Takie zagarnięcie władzy było tryumfem władzy zmyślonej (*imaginaire*). Uważałem, że studenci fałszywie oceniają taktykę rządu i że jest to taktyka subtelna a skuteczna. Studenci widzieli samych siebie w kategoriach gwałtu, powstania — rzucali jednak nie granatami, a kostką brukową (...). Kunszt władzy nie na tym polegał, by posługiwać się gwałtem, lecz raczej na umiejętności utrzymania całej konfrontacji w granicach pokojowych nie zezwalających na użycie broni (...).

(...) Zapropnowałem akcję zbrojną. (...) Wystarczyło uciec się do gwałtu, zacząć strzelać do sił porządku (...) Na taki gwałt znienacka rząd odpowiedziałby zbrojnie i sytuacja stałaby się nareszcie groźna, radykalizowałaby się. (...)

Patrzano na mnie niczym na szaleńca, mitomana”.

Groza! Ale w jednym Goldman ma rację: „maj 68” to była — na szczęście — cykoria, a nie kawa.

II

Zamknięty w kryształowej kuli polszczyzny, w kuli, z której wróżę sobie i światu, za każdym razem ze zdumieniem stwierdzam, że ludzie dookoła mówią po francusku.

„*Mais vous parlez très bien français!*”

G. prawda.

III

Zdumiewają mnie Polacy posiadający zdecydowane opinie na temat Francji. W ciągu ostatnich dziesięciu lat spędziłem tu „zusamen do kupy” 19 miesięcy, z tego pierwsze trzy, w 1967 r., na pełnym „luzie”. Mogę powiedzieć coś nie coś o codzienności trzech paryskich dzielnic (14, 18 i 12), o nartach w Tigne czy w Lance-le-Bourg, ale gdyby mnie kto zapytał, jak wygląda życie w okolicach Porte de Bagnolet czy zgoła w Dijon — zabijcie, nie mam zielonego pojęcia. Nie tylko nie wiem, jaka jest Francja, ale i o Paryżu wolałbym mówić z wielką ostrożnością. W końcu to, że się w tym mieście źle czuję — i to od pierwszej chwili — jest moją prywatną sprawą i znam ludzi, którzy takie wyznanie poczytają za dowód skrajnego snobizmu (bo jak można się nie zachwycać Paryżem!).

W tej nieznaney mi Francji chciałbym się najpierw pokłonić zimowym Alpom (o letnich nic nie wiem, ale pewnie też są cudowne), a zaraz potem Laskowi Vincennes. Pierwszy raz byłem w Bois de Vincennes jesienią 1967 r. z Maarit. Było przenikliwie chłodno i Maarit opowiadała mi norweską legendę o jemiole. Ale polubiłem Lasek dopiero pół roku temu w czasie długich samotnych spacerów wypełnionych dialogami z sobą i z Tobą.

IV

Te strzępy mają chwilami pozór osobistych wyznań, ale w gruncie rzeczy wyznania mnie mierzą, a „osobistość” tych notatek jest bardzo wybiórcza. Na przykład nie umiem pisać o erotyce. Po prostu nie umiem; uważam, że jest to jeden z najtrudniejszych w prozie tematów i że przerasta on moje pisarskie możliwości.

Bodaj dwa tygodnie temu odbyła się premiera nowego filmu Truffaut *L'homme qui aimait les femmes*. Pojechałem na pierwszy seans do czternastki, do kina przy av. Leclerc niedaleko rue d'Alsia. Pojechałem z duszą na ramieniu, że Truffaut zabrał mi „moją” książkę, tę, której, wiem, nigdy nie napiszę.

Wyszedłem z kina z uczuciem ulgi. Nie, nie zabrał mi „mojej” książki. Film jest płaski i „łózkowy”, nie w swej wizualności, lecz w zasadniczym ujęciu sprawy. Bohater i zarazem narrator (taki oszukany, bo nie zawsze on ciągnie opowieść) mówi w pewnym momencie do lekarza, że w ciągu ostatnich dziesięciu dni spał z co najmniej pół tuzinem kobiet. No i co z tego, skoro od żadnej z nich niczego się nie nauczył, nawet niczego się nie dowiedział. Niemal w całości uformowany przez kobiety (tzn. o tyle, o ile

modelują nas inni), oglądałem ten film z narastającym zdumieniem: że też można być tak impregnowanym na własne doświadczenie, tak nie chcieć nic wiedzieć o istotach ludzkich, z którymi żyjemy, do tego stopnia nie mieć żadnych poglądów!

W „Le Figaro” recenzja pt. *Un de meilleur Truffaut*.

V

Jak opisywać zbiorowe zachowania się? A w szczególności pęd do zbiorowego popełnienia samobójstwa?

VI

Nie tknąłem tego tekstu bodaj od połowy maja, po prostu nie byłem w stanie. Dziś jest czwarty lipca. Odebrałem od maszynistki ostateczną — mam nadzieję — wersję mego „projektu” i zacząłem serię telefonów do Delegation Generale à la Recherche Scientifique et Technique. Od 10⁰⁰ — a jest teraz 15⁰⁰ — nie mogę złapać sekretarki B-s.

Kosia zaczęła dziś swoją pierwszą, „dorosłą”, wakacyjną pracę. W „wielkich magazynach” przy „wielkich bulwarach”. Zaczęło się od awantury, bo na minutę przed wyjściem z domu okazało się, że gdzieś zapodziała papierek stwierdzający, że została przyjęta do pracy. Wyszła obrażona (powiedziałem jej, że jest „życiowym kaleką”), ostentacyjnie nie mówiąc nawet „do widzenia”.

Potworna duchota. Kasjerki w Prisunicu pracują dwa razy wolniej niż zwykle.

VII

Wiem, że to nie wygląda tak, jak powinny wyglądać fragmenty listów. A jednak ogromna większość tego, co tu piszę, pomyślana była najpierw jako ten czy inny list.

VIII

Chwywanie minionego czasu, nawet gdy chodzi jedynie o sześć tygodni, „rozgęszcza” selekcyjne sito pamięci, a przede wszystkim kaprysu. Z tego, o czym chciało mi się pisać jeszcze w pierwszej połowie maja, pozostało niewiele: Oxford, równouprawnienie kobiet, może jakies uwagi o filmach — reszta spłynęła zagarnięta falą „niewarto”.

IX

„Prawdziwy”, tj. zapowiedziany z góry, zorganizowany przez związki zawodowe strajk powszechny. Większość dnia siedziałem w domu i podgryzałem czy też może godziłem w. Przeważnie sam, ale trochę w towarzystwie Francuzów; dla sprawiedliwości jednego „prawicowca” i jednego „lewicowca”. Poprzedniego wieczoru pożyczyłem od moich kuzynów rower. W dniu strajku objechałem kawał Paryża: z 12 do 15 i z powrotem, różnymi drogami i to wcale nie najkrótszymi. Owey zimnej, na szczęście dla mnie, wiosny, dzień strajku był jednym z nielicznych słonecznych, a nawet gorących. Ulicami — sklepy na ogół otwarte, a już nieodzwrotnie te z żarłem — przelewały się świąteczno-niedzielne tłumy. Ludzie wyglądali na takich, co z radością skorzystali z dnia wolnego od pracy, a bynajmniej nie na biorących udział w „walce klas”. W każdym razie byli zupełnie niepodobni do tych, o których następnego dnia trąbiły fanfary większości paryskich gazet.

Już w Anglii, w styczniu — lutym 1974 r. wyglądało to poważniej, nie mówiąc o moim pierwszym doświadczeniu dwadzieścia lat temu w czasie targów.

Po południu wpadł M. z córeczką. Jego siostra jest sekretarzem sekcji związkowej Generalnej Konfederacji. W przeddzień strajku sekcje otrzymały spis haseł, które należy wykrzykiwać oraz piosenek, które należy śpiewać: *les hauteurs béantes*.

Wieczorem pierwsza wiosenna burza. W resztkach deszczu jechałem rowerem do kuzynów. „Powietrze jak po burzy” — czy można to napisać inaczej niż w cudzysłowie? Jeden z trzech momentów pięknego Paryża. Pierwszy 19 grudnia, dwadzieścia po dziewiątej; przez most de Bercy karetką pogotowia do Instytutu Curie; słońce dopiero co się ukazało, mosty Tolbiac i Nationale w złotej czerwieni. Drugi w trzy dni później: o zmierzchu i w szarudze szedłem przez most Sully. Czernie i szarości zatarły kontury koszmarów wzniesionych za Pompidou. Ten przejdzie do historii jako facet, który zohydził Paryż.

Od kuzynów, z piątki, wracałem piechotą. Telefonu oczywiście nie było. *C'était de la grosse merde*, jak mawia moja córka. Mnie pomysłowało się inaczej: taka, k..., „szkoła uczuć” — tu rewolucja, a tu burdel.

X

Wystarczy, mówię do Tamary, bym zobaczył z daleka „białe skały Dover”, a zaczynam się uśmiechać. Wystarczy, mówi Tamara, bym wyszła w Paryżu na ulicę, a zaczynam się uśmiechać.

Ona źle znosi Albion, a ja „słodką” — patrzymy na siebie z zabawionym politowaniem.

XI

W *Śmierci Tariatkina* (wielki Woszczerowicz, ile to lat temu?) jest mniej więcej coś takiego: kiedy modny był postęp — Tariatkin szedł na przód, a postęp trzy kroki za nim; gdy modna stała się kwestia kobieca — Tariatkin szlochał, że nie jest kobietą. Zupełnie jak-by Suchowo-Kobylin czytywał „Le Monde”.

XII

Barbarze, Janie, Zosi

O wyzwoleniu kobiet — oczywiście w każdym postępowym domu, przy każdym postępowych przepiórkach w sosie alaktośtam.

I am a male chauvinist pig — powiadam przy takich okazjach, na złość po angielsku, i wszyscy huzia na mnie.

Pierwszego wieczoru powiedziałem do Tamary (właśnie przecierała zupę jarzynową): chciałbym na twoje ręce złożyć następujące oświadczenie.

Od wielu lat jestem zdania, że głównym rezultatem równouprawnienia kobiet jest to, że mają obecnie bez porównania więcej pracy. Ale dopiero od października ubiegłego roku poznałem na własnej skórze, co to znaczy prowadzić dom, systematycznie, na co dzień. A zważ, że robię to w warunkach potrójnie luksusowych. Po pierwsze, zakupy tu nie są problemem; niektórym mogą nawet sprawiać przyjemność (ja do nich nie należę). Po drugie, moja praca wymaga jedynie stołu do pisania i legowiska do czytania (czytam zresztą niewiele, bo od dawna wypiąłem się na „eksplozję informacyjną”). Po trzecie wreszcie, umiem gotować, sprzątać, prać, a „od biedy i szyć, czyli męska bezradność wobec garnka, brudnej koszuli czy miotły jest mi obca (a jednak za każdym razem, gdy biorę do ręki patelnię czy otwieram piekarnik, wszystko się we mnie przewraca). W czynności „prowadzenia domu” najstraszniejsze jest to, że jest nieskończona — zawsze trzeba coś zrobić. Fakt, iż przy tym wszystkim leczycie, piszecie książki, prowadzicie seminaria, bierzecie udział w konkursach architektonicznych, sporządzacie bilanse kwartalne itd. itp. graniczy z cudem. Każda nasza, tj. męska, książka, każdy nasz projekt, wykład, artykuł jest drwiną z waszego życia.

XIII

Artykuł Jean Daniela w „Nowym Dostrzegaczu”. W pewnym sensie heroiczny, bo ... przypomina wysiłek człowieka, który chciałby przedłużyć jakieś swoje cudowne marzenie sennie a jednocześnie boi się obudzić z ręką w nocniku, by nie rzec z dziurą w potylicy.

XIV

Myślę, że Kisiel czasami przesadza w opisach bezkolizyjnego funkcjonowania zachodniej codzienności. (Oczywiście trzeba tu wziąć poprawkę na dominującą u nas przesadę w tym przedmiocie, a jest to, łagodnie mówiąc, przesada w drugą stronę). Ma też Kisiel skłonność do lekceważenia tutejszych konfliktów. A przecież nie wszystkie one wynikają z tego, że ludzie tu „*zbiesilis' od żyra*”, jak mówią Rosjanie. Zresztą — i to może jest najgroźniejsze — konflikty wynikające stąd, że im tu oczy sadłem zapłynęły, też są autentyczne, ponieważ ludzie wierzą głęboko w ich rzeczywistość. R. — a nie jest to przypadek najcięższy — wielokrotnie usiłował mnie przekonać, że życie we Francji uległo w ciągu ostatnich lat dwudziestu pogorszeniu i że, w szczególności, pogorszeniu uległa sytuacja mieszkaniowa w Paryżu.

Wydaje mi się, że niektóre ich konflikty są także naszymi konfliktami. Czy się to nam podoba, czy nie, należymy również do społeczeństw zindustrializowanych, a w skali globu — do społeczeństw zamożnych. Co prawda w przedmiocie zamożności, w skali globu poprzeczka ustawiona jest bardzo nisko.

Posiadamy zdumiewającą umiejętność gromadzenia mankamentów świata uprzemysłowionego, co łączymy z niezwykle zręcznością w zakresie omijania jego wygód.

Oberwę pewnie za to wszystko (z Kisielem lepiej nie zadzierać), ale trudno.

XV

Prawda — fałsz. *Verité — contrevérité*. Po rosyjsku: *prawda — nieprawda*. Również po rosyjsku: *prawda — istina*. Sytuacja, w której istnieją dwa słowa na określenie prawdy, wydaje mi się być komunikacyjnie niebezpieczna — nie jest pewne, która prawda jest prawdziwa. Notabene w polszczyźnie istniało kiedyś słowo „isty”, którego jedynym śladem jest dziś „zaiste”. Po rosyjsku: *podnogotnaja prawda*. To jest ta prawda, którą wydobywa się z człowieka wyrywając mu paznokcie.

Uporczywość i agresywność, z jaką Niedziela podkreśla swoje bycie poza prawdą i fałszem. Nie ma rzeczywistości, nie ma prawdy i fałszu — istnieje tylko ta chwila, w której rozmawiamy. Scenariusz napisany przez Hanę trzydzieści lat temu.

Zdaje się, że napisałem coś osobistego, czego oczywiście nie sposób zrozumieć.

A.: *Your point of view is a purely Judaic one. What is important for Judaism is the Law and the justice. What is important for Christianity is the Grace.*

XVI

Znakomita książka Piotra Rawicza *Bloc-notes d'un contre-révolutionnaire ou La gueule de bois*. Przetłumaczyłbym to jako *Głotwa czyli notatnik kontrrewolucjonisty*. Wydana w 1969 r., była niemodna, jest niemodna i nieprędko zdobędzie uznanie. Co zważywszy mój pogląd na stan francuskiego rynku kulturalnego świadczy na korzyść Rawicza.

Oto fragmenty wybrane na chybił-trafił:

„La zone démilitarisée continue à être bombardée. On y construit des fortifications puissantes”.

„Les adaptés de la non-violence ont attaqué la police et incendié de nombreuses boutiques”.

„Les démocraties populaires ne peuvent pas courir les risques de la démocratisation (...)”

(Phrases glanées au hasard dans les journaux).

Le langage est gravement malade.

Henryk (kelner od czterdziestu lat pracujący dziesięć do dwunastu godzin dziennie):

Ten napis naprzeciwko „Chwała pracującym!” Wielki Boże, dlaczego to? Dlaczego nie „Chwała leniwym”?

W naszym zawodzie, proszę pana, jest się psychologiem, pojmuje się znaczenie ludzkich wartości. Praca jest niewątpliwie jedną z nich, ale nie-praca jest również wartością; nie mniej zaszczytną, nie mniej pożyteczną. Jest sympatyczniejsza i nie tak groźna. Ponieważ lenistwo, proszę pana, nie jest tak butne. A każda pycha jest szkaradzieństwem. Niech żyje lenistwo, proszę pana, chwała leniwym!

Jakiś gość woła Henryka, który co sił w nogach pędzi na drugi koniec tarasu.

Rawicz w rozmowie telefonicznej ze mną: „bo to jest numer mojej pracowni... a może raczej leniwni”.

XVII

Wśród różnych edycji specjalnych „Le Monde” ma również i zatytułowaną *Dossiers et documents*. Numer 43 tego czasopisma (lipiec — sierpień — wrzesień 1977 r.) składa się z dwóch *dossier*: „Prawa człowieka” oraz „Wakacje we Francji”.

XVIII

Kartka do B.:
A Oxford piękny.
A drzewa owocowe kwitną.
A sznur już ukręcony.